



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z ŻYCIA.

Wiosna poskąpiła nam naraz słońca i ciepła, pora to przecież zwykła takiego jej kaprysu: święty Pankracy i święty Serwacy zawsze chłodem darzą; ale zdarzyło się, że nam Warszawiakom, mimo to zaćmienie uroków wiosny, uśmiechnęła się iście wiosenna obietnica—wystawa róż. Sama myśl o tem, już się zdaje woń roztaczać, a wychodzi ona, jak wszystko dobre w tym kierunku, od Redakcyi *Ogrodnika polskiego*. Prócz inicjatywy daje Redakcyja trudy urządzenia wystawy i bierze na siebie odpowiedzialność wszelką, jaka się z przedsięwzięciem tego rodzaju łączy, czyli bierze nie mały ciężar pracy, zachodów, a kiedy nam przedstawia się głównie rozkosz uroczego widoku, Redakcyja ma na względzie myśl naukową utworzenie kolekcyi takich róż, które się do hodowli w naszym klimacie najlepiej nadają, oraz róż tych klasyfikacyą.

Data otwarcia wystawy ściśle oznaczyć się nie daje, z powodu, że nikt naprzód nie wie, kiedy mianowicie wypadnie rozkwit róż? Zależy to od pogody i niepogody; dlatego-też „druga połowa Czerwca” jest jedynym jak na teraz oznaczeniem czasu. I miejsce wystawy jeszcze też stanowczo postanowionem nie zostało: najodpowiedniejszą byłaby jedna z pomarańczarni pałacu Łazienkowski, o co też starania odpowiednie uczynione zostaną. Wystawa, dla krótkotrwałości różanego kwiatu, będzie trwać tylko dni trzy. Do konkursu należą: kolekcya największa i najpiękniejsza róż kwitnących w doniczkach; takąż kolekcya róż obciętych; największa hodowla róż; bukiety z róż samych. Do wystawy przypuszczone będą jeszcze i kwiaty inne: pelargonie angielskie, skarlety barwnolistne, ułamki (fuksy), gloksynie, bratki i in-

ne kwiaty obcięte, kolensy. Nagrody ustanowiono pieniężne, najwyższa będzie w kwocie 100 rub. srebr. Dozwolona przytem będzie na wystawie sprzedaż róż pojedynczych, lub kwiatów w doniczkach. Opłata za wejście w dniu otwarcia wystawy 2 złote; w dni następne 40 groszy. Na sędziów konkursowych postanowiono zaprosić Dra Jerzego Alexandrowicza, profesora Rostafińskiego, pp. Bardzkiego Filipa, Czepińskiego, Lotha, L. Kronenberga, Kucyńskiego, Wanaszka, Wolffa. Listy zapraszające do wzięcia udziału w wystawie wkrótce rozesłane zostaną.

Pole to bardzo wdzięczne dla pracy, tak amatorów, jak w celach naukowych i przemysłowych przedsiębranej, pole szczególnie odpowiednie dla kobiety. Zamiłowanie do kwiatów zdaje się być prawie kobiecie wrodzonym; może ono być bardzo przyjemnem urozmaicheniem życia rodzinnego, bardzo miłym zajęciem dla samotnej—kwiat, to wreszcie najpiękniejsza ozdoba domu, przystrój tak bogatych salonów, jak skromnych pokojów. Dość kawałeczek drogi poza granicę naszą w Niemcy wjechać, aby się o tem przekonać; wystawa pokaże nam, oile estetyczne zamiłowanie piękna w tem kierunku rozwinięte jest u nas? Nietyle przecież chodzi nam o to, ile pań wystawę zwiedzi, bo podziwiać na chwilę piękno, gdy to niewiele kosztuje, fantazyjka to miła; ale czy będą wystawczynie, czy ich będzie choć trochę więcej, niż na wystawie gospodarczej zwierząt? Tam jest rzeczywiście jedna, czy tu będą chociaż dwie?

Ale wiosna tegoroczna uśmiechnęła się do Warszawian obietnicą widoku milszego jeszcze niż wystawa, niż kolekcya róż, choćby rozkwitłych w ogrodzie szacha perskiego, bo obietnicą kolekcyi twarzyczek dziecinnych uszczęśliwionych, uśmiechniętych, ocząt szeroko otwartych i aż zadziwionych, zalekniionych niepojętym szczęściem swoim. I to nie będą dzieci takie, dla których wyprawia się bale z tombolą, które się stroi w sukienki aksa-

mitne, którym znajomi rodziców przynoszą bonbonierki pełne cukierków. Nie, tu chodzi o dziecko ubogie, o dziecko blade, mizerne, słabowite, które zostanie obdarowane przestrzenią, słońcem, powietrzem czystym—środkami, przez które zyska rumieniec na lichko, chyżość, lekkość dla ociężałych członków—zdrowie.

Wicie już o czem jest mowa: o wyprawianiu na wieś pewnej liczby słabowitych dzieci warszawskich z klasy ubogiej, które się porodziły, żyją, rosną w ciasnych, dusznych, wilgotnych zaułkach miejskich, a dla których warunkiem zdrowia, prawidłowego rozwoju, zdobycia sił do przyszłej pracy, jest wieś. Dziecko uboższego rzemieślnika warszawskiego ledwo parę razy w życiu swojem może być za rogatkami, odetchnąć pełną piersią, skąpać się w promieniach słońca, i dla dziecka takiego nawet miejskie ogrody nasze nie są przystępne, bo mieszka od nich daleko, bo nie ma komu je tam prowadzić, bo wreszcie puszczonem tam nie będzie w odartej sukieneczynie, boso, w czapeczce lichiej. W rzadki dzień święta wyprowadzi je matka lub ojciec ze sobą, i wtedy-to spotyka się na ulicach i skwerach te blade, drobne twarzyczki, te smętne przez słabowitość usteczka, nóżki, które się krzywią. Chłopczyk ma często gęsto rogatywkę na ogromnej głowinie, dziewczynka zapleciony spłowią wstążeczką warkoczek, lichych jak żyto na piasku, cienkich jak pela, najczęściej jak len jasnych włosków. Nie ma to ruchliwości, należnej dziecinemu wiekowi, nie ma dziecinnej figlarności i wesołości w spojrzeniu—biedne, anemiczne istotki, podobne do wątłych roślin, które wegetują bez światła i powietrza.

Każdy lekarz, który od czasu do czasu dzieci te leczy, wie, że bez tych dwóch najpotężniejszych środków leczniczych, nie im naprawdę nie pomoże to wszystko, co z zapisu jego zażywać będą. Zatlumi to coś chwilowo, chwilowo coś usunie, ale zle tkwi w otoczeniu i podkopuje żywotność. Czem

miasto większe, im więcej pokoleń w tem mieście przeżyło, tembardziej szkodliwość tych wpływów się wzmacnia i to, co przed kilkunastu latami było dla rodziców niedobrem, jest obecnie zabójczem dla dzieci.

Ztąd też kółko ludzi dobrej woli, z kilku zacnych lekarzami naczele, postanowiło, naśladując zagranicę, urządzać zbiorowe wysyłanie na wieś dzieci słabowitych. Już nie od dziś dnia radzono o tem, mówiono i pisano, już nawet myśl dobroczynna poszła między publiczność i działa. W Galicyi hr. Potocka z Rymanowa, oznajmiła w roku zeszłym, że przyjmie na pobyt letni gromadkę chłopców; u nas ogłosił się z podobną ofiarą ktoś z Kutnowskiego; wiemy że p. Wal. Trzetrzewińska z Janowa pod Mińskiem, pomieszkaniem dla takich gości z Warszawy przygotowuje: urządza im dom pod lasem, odpowiadający wymaganiom warunkom leczniczego na wsi pobytu. Obmyśla nawet dla małej drużyny zajęcia, lepsze od sztucznego gimnastycznego ruchu — lekką pracę na świeżem powietrzu, która nawet mały zarobek przynosić będzie.

Wiadomość dla dziecka wychowanego w mieście jest nie tylko czemś tak pełnem niespodziewanek, jak zaczarowany las Armidy, ale otwartą księgą niewyczerpanej nauki. Od niewidzianego dotąd nigdy wschodu i zachodu słońca, od otwartego widnokręgu, który wieczór milionem srebrnych gwiazd zasieje, do drzew w lesie, traw na łące, do pszczołki, muszki, motyla: wszystko to cuda, rzeczy nowe i ciekawe. To też letnie na wsi pobytu nie tylko fizyczność dziecka wspomaga i siły jej rozbudza: i inteligencja dostanie bodziec ożywczy, iskrę elektryczną dla myśli. Przysłowie: co krok, to prorok — najrzeczywistszą prawdą tu się stanie, bo co krok będzie się tu biednej dziecinie coś objawiać, odsłaniać, istnienie nieznanego świata obwieszczać.

Więc to rzecz dobra i pożyteczna, rzecz nad wyraz wszelki potrzebna i kto do niej rękę przyłoży, kto się w niej dobroczynnie zaznaczy, ten pożytecznego uczynku dopełni i dobrze społeczeństwu swemu się zasłuży; a oto właśnie D-r Markiewicz odzywa się w imieniu wspomnianego kółka, które kółkiem znajomych swych nazywa, o pomoc, o umożliwienie przedsięwzięcia, któremu tak więcej obywateli, jak mieszkańcy miasta zarówno poparcie dać mogą w sposób dwojaki. Prócz ofiar pieniężnych, potrzebne jest 1-o pomieszczenie i niektóre materiały surowe, konieczne dla utrzymania dzieci na wsi; 2-o odzież dla dzieci już najbiedniejszych, na czas letniego na wsi pobytu. Pobyt ten trwać będzie od pięciu do sześciu tygodni, a obejmie dzieci w wieku od lat ośmiu do czternastu, tak chłopców jak dziewczynki, z klasy rzemieślniczej, niższych officialistów i tem podobnych kategorii, tak uczęszczające do ochron, jak i inne. Wysyłane będą gromadkami po 10, po 15, do miejscowości zdrowych, oile można lesistych, położonych niezbyt daleko od drogi żelaznej, lub biegu statków parowych. Opieka zostanie im dodana w postaci nadzorców lub nadzorczyń, przybywających wraz z dziećmi na miejsce i darem dobroczynnej gościnności potrzebuje być tylko dla każdej gromadki: jedna lub dwie izby, łączących się ze sobą i jeżeli można położonych na dole, tak obszernych, aby piętnastu dzieci i nadzorca znaleźli pomieszczenie, dające wygodny nocleg na siennikach, przyczem liczyć należy sześć łózek kwadratowych na jedno posłanie. W tych izbach, lub w izbie sąsiedniej powinien być stół, lub stoły na 16 osób, z odpowiednią ilością stołków lub ławek; nadto potrzeba dla nadzorcy łóżka, krzeselka, stoliczka, przyczem pożądaną-by była jaka szafka nieduża, komoda, lub wreszcie skrzynia z zamkiem. Prócz tego potrzebną jest do sienników słoma, lub siano, oraz furmanka od kolei i do kolei, choćby jedna pod rzece. W razie zachorowania dziecka posłanie po lekarza i odwiezienie go z powrotem.

Ofiarodawca tych wszystkich wyżej wymienionych przedmiotów na czas pobytu dzieci zechce zarazem dołączyć wskazówki: kto i gdzie chciałby wziąć na siebie całkowite stołowanie dzieci i nadzorców, za cenę dziennie 50 kopiejek od dziecka, 75 kop. od nadzorcy. Pożywienie powinno być posilne i zdrowe, choć proste, codziennie mleko i jak-

najczęściej mięso. Nadto potrzebną jest wiadomość, czy znajdzie się na miejscu kobieta, któraby prała bieliznę dzieci i sprzątała izby, przyczem dzieci według wskazania nadzorcy same dopomagać będą. Ułatwienie w nabyciu mleka, przynajmniej kwarty dziennie na dziecko, jarzyn i tym podobnych przedmiotów z wdzięcznością przyjęte będzie. Przy łaskawem zgłoszeniu się z ofiarą, potrzebnem jest szczegółowe jej określenie i objaśnienie, czy na miejscu jest woda bieżąca dla kąpieli i las iglasty?

Każde dziecko wysyłane potrzebuje wziąć ze sobą: siennik, koldrę, worek lub torbę, 2 pary butów lub trzewików, 3 pary skarpetek lub pończoszek, 2 koszul dziennych, jedną nocną. Dla chłopców dwie pary majtek, dwie kurtki lub bluzki, dwie kamizelki. Dla dziewczynek w odpowiedniej ilości ubranie w sukienkach, spódniczkach i kaftanikach, oraz kapelusik. Dla chłopców kapelusik lub czapka, prócz tego dla każdego dziecka dwa ręczniki, grzebień, szczotka do zębów i kawałek mydła. Dla każdej pojedynczej gromadki: cztery szczotki do czyszczenia obuwi i puszka szuwaksu, dwie szczotki do czyszczenia sukien z błota, szczotka do zamywania, sześć ścierek, pięć misek do mycia.

Dzieci wysyłane będą najdalej z początkiem Lipca; po powrocie ich ze wsi ogłoszonym zostanie szczegółowe sprawozdanie tak pod względem lekarskim, jak gospodarskim i finansowym, przyczem wyszczególnione zostaną wszystkie ofiary na rzecz tego pożytecznego przedsięwzięcia uczynione. O dniu wyjazdu każdej pojedynczej gromadki, czy to koleją, czy statkiem parowym, publiczność będzie zawiadomiona, i każdy dobrego serca człowiek, każda kobieta z uczuciem macierzyńskiej troski w piersiach, będą mogli pożegnać życzliwie biedactwa te małe, będą mogli powiedzieć im: Jedźcie z Bogiem po zdrowie, po siły do pracowitego życia, które was czeka.

Adres D-ra Markiewicza jest: ulica Miodowa Nr 5.

HENRYK WADSWORTH

LONGFELLOW.

(Dokończenie).

Zakończenie Ewangeliny jest niewymownie wzruszające i szlachetne przez uczciwy żal poety nad nieszczęśliwym ludem Akadyan i zbrodnią, która na nich popełniona została. Smutno mu jest widzieć życie nowe, rozsiadłe na zgłiszczach i ruinach dawnego, to też zamknawszy dzieje biednej bohaterki swego poematu, zwraca się do miejsc, które były jej krajem. Ezechieli, przeglądając pole zasiane kośmi, miał widzenie, jak pokrywały się ciałem; on przecież ma prawo być żałośniejszym od tego proroka Judy, skoro tam, kiedy dokonał się zachód krwawy i okrutny, widzi znów słońce dnia, świecące wesoło: ruch, życie, narodzenia nowe... Tak dzieje się przecież wśród pięknych, żyznych dolin Akadyi, wśród zielonych gajów wielkiego, pierwotnego lasu, rozciągającego się nad zatokami Atlantyku i poeta pisze:

„Las ten stoi tam jeszcze, lecz pod drzew jego
[uchroną
Mieszka już rasa inna: innych zwyczaj i mowy...

Tylko nad Oceanu mglistem, posępem wybrze-
[żem

Żyje garstka rybaków, plemię tych biednych wy-
[gnańców,

Którzy tu potem wrócili, aby choć umrzeć w ojczy-
[znie.

W chatach tych ludzi, jak niegdyś, kółka i krosna
[są w ruchu,

Dziewczęta noszą podziśdzień Normandzkie głowy
[okrycie,

I przy kominach wieczorem opowiadają tam sobie
Ewangeliny historią, a ze skalistych swych głębin
Ocean słyszeć się daje, potężny głos swój podnosi,
I odpowiada ponuro na lasu łagodne szmery...

Vae victis! rozsmuca duszę poety, któremu przecież to szlachetne, podniosłe uczucie sprawiedliwości zostało wziętem za złe przez jego rodaków. *Ewangelina* dotykała niemiło narodowej dumy Amerykanów i w Bostonie szczególnie, w starym gnieździe purytanizmu i tradycji pierwszych pielgrzymów, czyniono mu zarzuty za niedosć patryotyczne stanowisko względem dziejów ojczystych. W Europie przecież, w Anglii nawet, poemat ten został przyjęty z uznaniem; tłómaczono go na kilka języków i zaliczyć w to trzeba bardzo dobry przekład polski p. Jezierskiego, drukowany, podobnie jak *Złota Legenda*, w „Bibliotece Warszawskiej“. Przy przedmiocie niezmiernie tragicznym, przy tle rzeczy bardzo bogatym, *Ewangelina* mogłaby być arcydziełem, gdyby poeta był pojął i ujął rzecz inaczej. Szkodą tu jest najpierw, i wielką, że przypomina niezmiernie *Hermana i Dorotheę* Göthe'go, w którym-to utworze wielkiego poety nigdy smakować nie mogłam, może z tej przyczyny, że rzecz jest — jak z natury swej być musiała — trzymaną w tym ludowo-niemieckim tonie, w tym ludowo-niemieckim kolorycie, który przedstawia mi przedmioty grubo i dla mnie nieestetycznie, niemiło. W *Ewangelinie* malowidło jest bez porównania wdzięczniejsze, wdzięczne bardzo, ale tkwi w samym rdzeniu rzeczy błąd zasadniczy, a to, że istotna treść poematu: historia dwojga ludzi, dwóch serc, dwóch duchów, a duchów pięknych, szlachetnych, cierpiących przez to, że je chwytła i unosi ze sobą okrutna trąba zawieruchy opisowej, schodzi na ramy jedynie do poematu opisowego, który — trzeba przyznać szczerze, choć i tu przeciwstawiać się muszę uznanym powagom krytycznym — jest rozwlekłym, jest nudnym. Opis to życia osadników, życia misjonarzy, życia Indian, czyli pierwotnego życia pasterskiego i łowieckiego, rolniczego, wreszcie życia pustelniczego w głębi lasów z przyswiewającą mu gwiazdą religijnej ekstazy, co wszystko razem dawało bardzo piękne i szerokie tło do poematu, ale co poematem samym być nie może ze względu na estetyczne warunki tworzenia tego rodzaju. Obraz kraju, społeczeństwa pewnego, jakiejś historycznej chwili jego rozwoju, pisze się nie wierszem, lecz prozą, i książka mogłaby wtedy przy odpowiednim rzeczy traktowaniu być wysoce zajmującą i malowniczą, tak piękną, jak poemat pięknym nie jest.

Zadanie poematu było przy takim przedmiocie inne: na wspaniałym podkładzie tragicznej akcji dziejowej powinien on być przedstawicielem ducha kobiety z jego wielkich czterech stron ideału: miłości, wierności, mężstwa i ofiary. Co do tej rzeczywiście treści dodano, stało się zbyt; zabrakło rzeczy skupienia, siły, kolorytu gorącego, i poezja uciekła, a zostały tylko to tu, to tam, ślady poetyczności autora.

Ewangelina stanowi przecież dla historii jego ducha ślad jeden jeszcze: przez sam swój przedmiot wykazuje szlachetność uczuć poety i ich ludzkość wysoką. Jej piękno moralne sprawiło też, że mimo braków artystycznych, rzecz stała się bardzo popularną, tak w Stanach Zjednoczonych, jak w Anglii, gdzie oddzielnie wyszło jej wydań kilkanaście w pysznych edycjach na brytolsku z ilustracyami sir Johna Gilberta. Dla rasy anglosaksońskiej, która pożarła tyle ludów, ma to znaczenie bardzo wysokie i podnosi poetę między duchy piękne i dostojne. Wydał on głos w sprawie pokrzywdzonych i uciskanych, głos, który, jak widzimy, nie przebrzmiał bez echa, skoro dotąd jeszcze wibruje w sercach ludzkich.

Zbiorek poezji zatytułowany: „Poems of Slavery“, a wyszły w dwa lata po ukazaniu się „Ewangeliny“, jest głosem podobnym, tylko tu poeta zatrzymał się szczęśliwie na gruncie odpowiednim. Celu głównego nie poddał celom pobocznym i wyszła z tego całość poetycznie piękna: kilkanaście wzruszających obrazów nędzy ludzkiej i srogości ludzkiej, kilkanaście obrazów z życia murzynów

niewolników w Stanach Południowych Ameryki. Poeta nie woła do okrutnych właścicieli tej trzody ludzkiej: — To bliźni wasi... tylko maluje rozmaite stany uczucia ludzkiego w sercach tych nieszczęśliwych, rozmaite położenia ich ich okrutnego losu. Tam biedny murzyn kocha i tęskni, tam biedny murzyn pada jak bydlę juczne pod ciężarem pracy, do której zmusza go bicz srogięgo pana, tam usiłuje zdobyć sobie to, czego w całym kręgu ludzkości on jeden jest pozbawiony, dlatego tylko że czarny, że urodzony z plemienia, które nie wyszło jeszcze z łona natury i nie umie się bronić przed chciwym, chytrym, bezbożnym człowiekiem ucywilizowanego świata. Murzyn, któremu rozpacz każe zerwać obrozę niewolnika, murzyn zbieg, którego życie musi upływać poza granicami ludzkiego świata, to jeden z piękniejszych obrazków poety:

Wśród Dismalskich moczar trzęsawiska,
Leży Murzyn ścigany i dyszy;
Widzi płomień gdzieś z kocz owisk błyska,
Tentent koni gdzieś lecących słyszy;
W cieniach nocy fala pluszcze blizka,
I szakali wycia płyną w ciszy.

Po sitowiach, paprociach, do koła,
Światlikowe migają się muchy;
Jodły wznoszą mchem obrosłe czoła,
Szumią z wiatru chłodnemi podmuchy;
Rosną cedry, jak węże z padola,
Jadowitych win pną się łańcuchy.

Tam, gdzie ludzki krok nigdy nie mierzy,
Myśl się ledwo posunąć ośmieli,
Gdzie las dziki ostrych traw się jeży,
Drżąc zielen na drżącej topieli,
Tam zbieg Murzyn, jak zwierz w swojej leży,
Na szuwarów twardej legł pościeli.

A wychudły, blady jest i stary,
Straszne jakieś skurczyły go bole;
Wypalone ognistemi żary,
Piętno hańby na smutnem ma czole,
Zgrzebna szata podłej płachty szarej,
Nędznych członków pokrywa niedole.

Przejęż wszystko, co w krąg niego żyje,
Po Bożemu piękne i swobodne;
Jaszczureczka, co się w bagnach kryje,
Mieszkające w trzcinach ptactwo wodne—
Z pierwszym brzaskiem w błękitny się wzbije,
Pod niebiosa uleci pogodnie.

Tylko jedna ta Murzyna głowa,
Kainowe wzięła potępienie,
Pierwsza życia jutrenka różowa,
Wiecznej męki nosła przeznaczenie,
Od którego chyba go uchowa,
Matka-ziemia, biorąc w grobu cienie....

To Murzyn zropanczony, to Murzyn zdziecały;
ale jest Murzyn smutny, zrezygnowany, żalony,
Murzyn poeta, Murzyn uczucie: Murzyn rozdzielony
z ukołaniem swoim, chory śmiertelnie na
tęsknotę za ziemią ojczystą, śniący przeszłość nie-
zapomnianą:

Na niedożytym ryżu zagonie,
Murzyn położył się senny;
Nagię piał piersi, odkryte skronie,
Oblewał znojem skwar dzienny,
Lecz myśl ku łubej ojczyzny stronie,
Uniósł snów anioł promienny.

I widzi Nigru błyszczące fale,
Brzeg wdzięcznie trzciną zarosły;
On, król pustyni leży wspaniale, {
Pod cieniem palmy wyniosłe,

Pieśń karawany w brzmącym hajnale
Poranne wiatry mu niosły.

Wtem czarnolica jego królowa
Stąpa ku niemu powoli;
W uszach rodzinna zabrzniała mowa,
Synek u łona swawoli,
Zpod czarnej rzęsy łezka perłowa
Spadła na ziemię niewoli.

Ale flamingo piór swych szkarłatem
W zwierciadle marzeń polyska,
W gaju tamarynd okrytych kwiatem,
Gdzie zdroj szemrzący wytryska;
Tam za klejnotem lasów skrzydlatym,
Murzyn strzał oczu swych ciska.

I przez strumienie, doliny, góry,
W szybkiej go ściga pogoni;
Ptak swobodnemi szybuje pióry,
Słodką wolności pieśń dzwoni;
Słońce w przeświecym płaszczu purpury
Ognistą głowę w dół kłoni,

Aż tu Ocean fale swe toczy,
Kafryjskie widać już chaty;
Dzika hyena wyje z uboczy,
Ryczy lew pustyni kudłaty;
Wspaniały łowiec wyniosłe kroczy,
Sennym tryumfem bogaty.

Wtem buchnął tuman piasku siwego,
Wiatr szumem zahuczał dzikim,
Zasłaniał się Murzyn, jakby na niego,
Znanym ktoś wołał językiem:
Witając piosnkę druha starego,
Rodzinnym ozwał się krzykiem.

Już go plag dawnych nie bolą blizny,
Słońca nie palą upały,
I na niewoli ziemi nieżyźnej,
Trup tylko został stężały:
Wolny duch wrócił już do ojczyzny,
Anioł go śmierci niósł biały.

Tak poeta przemawiał uczuciem do uczucia: do młodości, do kobiety; rzucił gorące iskry, aby zatlić w sercach litość, unieść dusze do zapалу sprawiedliwości, obudzić drzemiące sumienia. Ale miał i głos inny: poważny, surowy, głos rozumu, którym, jak nasz Skarga z kazalnicy, odzywał się do mężów swego narodu proroczo: — „Strzeżcie się — wołał — ten olbrzym Judy, który rozdzierał lwy na drodze swojej, gdy został ślepym i ubogim, ze szlachetnej swej siły okradzionym, służył Filistynom za rozrywkę, był przez nich zepchnięty do podziemi więziennych, ale raz, gdy zrozpaczonemi rękami objął kolumny gmachu i wstrząsnął niemi, ściany się zarysowały, rozsunęło się więzanie dachu i budynek cały legł w gruzy. Taki ślepy Samson jest w kraju waszym, bezsilny dziś i skuty na niemoc, ale może on również w jakiej chwili posępnego przebudzenia zatrzęsć kolumnami naszej budowy i przybytek stać się wtedy może stosem gruzów, bezkształtną górą rozwalin — strzeżcie się“.

Wojna Południa z Północą Ameryki wykazała, że poeta był prorokiem. Czy nie było tej wojny domowej przyczyn innych jeszcze? to rzecz druga. Było niewątpliwie współzawodnictwo interesów, było mocowanie się o przewagę handlową, było nawet starcie ostatnie ludności różnoszczepowej, ale biedny „brat Sam“, „Wuj Tom“, Murzyn niewolnik był przyczyną najgłówniejszą i zasadą prawną, dla której roznamietniały się tłumy, dla której potem Północ miała powód postawić gniołącą nogę na piersi Południa, a Murzyn stał się wtedy narzędziem i środkiem bratobójczych nadużyć, które wstrząsnęły gmachem Unii Amerykańskiej. Południe już leżało w gru-

zach, a nikt jeszcze nie wie, jaką może być przyszłość, bo nienawiści potężne, nurtują w łonie ludności tamtych i tylko Samson, któremu nagle wzrok i siły wrócono, jest dziś strażnikiem swego dawnego pana.

Jeżeli Henryka Beecher Stowe, przez sławną swoją powieść: *Chata Wujka Toma*, zyskała nieśmiertelność, choć jako utwór literacki rzecz to bardzo miernej wartości, a błyszczy tylko i świetnie niezagasłym blaskiem uczciwego uczucia ludzkości i sprawiedliwości; Longfellow przez poezję swoje, oddane sprawie niewolnictwa, zarobił już sobie na tytuł szlachetnego myśliciela i poety, który na Kapitolu swego narodu, powinien być dostać dębowy wieniec obywatelskiego uczczenia.

I w poezjach tych jest on nareszcie oryginalnym, jest samym sobą. W *Evangelinie*, mimo rodzinnego przedmiotu, było jeszcze naśladownictwo; tu dopiero wstępuje poeta na drogę swoją, znaną wreszcie i postępującą w kierunku, który mu wskazała, tworzy najznakomitsze swe dzieło: *The Song of Hiawatha*. Jest to Edda Indian, jak sam poeta utwór swój nazywa: zbiór podań, wierzeń i marzeń biednego ludu pierwotnych mieszkańców Ameryki, plemienia Czerwonoskórych. Dlatego samego, że plemię to stanie się już wkrótce tylko cieniem przeszłości, że przepadnie wytracone, *Pieśń o Hiawacie* ma swoją odrębną i wielką zasługę. Jest materyałem historycznym, jest niby pomnikiem grobowym, postawionym na wielkiej mogile całej rasy, całego szczepu, który nie dlatego przecież musiał zniknąć, aby nie był zdolnym do życia przy jego rozwoju cywilizacyjnym, ale dlatego, że zwycięzki Anglo-Saxon jest okrutny i chciwy, a Indianin za szlachetny właśnie, za niepodległy, aby siedł na niewolnika, jak Murzyn. Gdyby się była utrzymała w Ameryce kolonizacja francuska, gdyby misjonarze katolicycy byli mogli spełnić rozpoczęte dzieło swoje, plemię indyjskie byłoby się stało piękną gałęzią drzewa ludzkości.

Longfellow nie wzniósł się do tego wielkiego aktu ludzkości, aby rzucić w oczy narodowi swemu wielki wyrzut zbrojstwa i krwiożerczości, nie wcielił w *Pieśń o Hiawacie* rozpaczliwych dziejów patriotycznego boju Indian z drapieżnym Europejczykiem, który ich naszedł i tropi, przepędza nawet już garstkę ostatnią z kąta w kąt ich ojczyzny. Ale niemniej owiał on swój utwór pewną smętnością, która tu jest na miejscu i której też czytelnik, niebędący srogim Yankee, wymaga niemal, aby się tu znalazła. Wstęp jest bardzo piękny: poeta wzywa na słuchaczy pieśni indyjskiej tych wszystkich, których serca są świeże i proste, którzy wierzą w Boga i ludzkość — wierzą, że każde serce człowieka jest sercem ludzkim, że nawet w łonie dzikiego są tęsknoty i pragnienia, są usiłowania i porywy idealne, a ręka jego wyciągająca się ku górze w ciemności spotyka się tam z ręką Boga i dotyka jej.

Longfellow kilkakrotnie był w Europie; w roku 1835 najwyższa szkoła amerykańska: Harvard College, ofiarowała mu katedrę, podobną tej, którą zajmował w Bowdoin College i którą przyjąwszy, zajmował do 1855 r. — do roku wydania „*Pieśni o Hiawacie*“. Harvard College mieszczą się tuż pod bokiem Bostonu, w miejscowości Cambridge, i tam to osiedlił się poeta na stałe; tam przebył krótki czas swego drugiego małżeństwa, tam doczekał się starości, i tam umarł, w posiadłości nabytej na własność, Cragie House, gdzie piękny stary dom, zamieszkiwany niegdyś przez Washingtona, otaczają piękne stare sady i ogrody — mnóstwo drzew i zieleni, której potrzebował on niejako, aby mógł żyć w związku z tą naturą, którą tak kochał od dziecka. Porzuciwszy katedrę, oddał się spokojniej i zupełnie pracy na własny, autorski rachunek, ale choć pisał wiele, już zpod pióra jego nie wyszedł żaden utwór większy, któryby mógł rościć sobie prawo do wyższości nad poprzednikami: *Miles Standisch*, *Ma-chabeusze*, *Boska Komedia*, *Tragedye Nowej Anglii*, nie już nie dorzuca do wienca jego autorskiej sławy, tak jak i późniejsze jeszcze dzieła jego starości. Przejawia się w nich głównie natchnienie religijne. *Powieści w gospodzie*, choć wydane w roku 1863, zdają się jednak należeć do czasów jego twórczości młodej, którą nazwać trzeba naślado-

wniczą, europejską. Noszą one na sobie cechę tych czasów, kiedy tworzył *Złotą legendę* i jest to na wzór Dekameronu Boccacciuszowskiego, zebrany zbiór powieści opowiadanych sobie przez rozmaite osobistości, zgromadzone przypadkowo. Rzec dzieje się w gospodzie angielskiej, opowiada: gospodarz, student wracający z włoskich uniwersytetów, młody Sycylijszyk, żyd hiszpański, teolog, muzyk i poeta. Najbardziej pociągającą, bo najcieplej napisaną i piękną, przez bardzo artystycznie oddaną naiwność średniowiecznej religijności, jest jedna z powieści teologa: „The legend Beautiful”, a którą czytelnicy pisma naszego znają w przekładzie. Longfellow był naturą głęboko religijną, lecz nie ciasno, nie sekciarsko-religijną. Protestant ma z jednej strony uznanie dla cywilizacyjnych zasług katolicyzmu, gdy z drugiej strony poeta ulega często jego poetyczności.

Miedzy drobnymi utworami z tej epoki wieku poety, którąby nazwać można: po zamknięciu się młodości—jest wiele bardzo pięknych. Wszystko co z rzeczy lirycznych napisał od 1855 r. pomieścił pod ogólną nazwą: *Wędrowne ptaki*. Poezye te podzielił, w miarę wydawania częściowego na: *Odloty*, i jest ich pięć; mniej, więcej artystyczne, wszystkie jednak noszą jedną wspólną im cechę: melancholię. Jest ona łagodna i cicha, nie narzuca się czytelnikowi żadną skargą gorzką, niemniej czuć ją, że tam jest: wibruje tak w muzyce rymów, jak wibrować musiała w sercu poety, gdy je składał. *Wędrowne ptaki* to nadzieje, złudzenia, porwy młode, które odlatają zwolna, gdy zima życia się zbliża, gdy słońce, które przyswiewało wiosnie, pałało latem, blednąć i chłódzić zaczyna: gdy wschodzi coraz później, coraz wcześniej za widnokrąg zapada. Jedną z poezyj części pierwszej tego działu, a noszącą wyłącznie tytuł, który całemu zbiorowi nazwy używa, wypowiada to, tłumaczy: tłumaczy czem są poeci i czem jest ich poezya. Czy to stada ptaków ciągną przez błękit niebios temi wyciągniętymi sznurami, stada ptaków, uchodzące przed chłodem zimy? Czy to jest ich przelot, czy to wianie ich skrzydeł słychać przeciągające nad światem? Może to dusze poetów, dusze, które gonią za jaśniejszym niebem, za cieplejszym słońcem, za krainą pogodnego ideału, lecz tam kędyś wysoko na skrzydłach natchnienia?

Lot ich drżący ku górze
Gra w eterów lazurze,
U jasnego niebiosów sklepienia;
Dźwięk dopiero odbity
O gwiazdziste błękity
Spada ku nam jak echo podniebne—
Spada w rytmów muzyce,
Przez dum ziemskich tęsknice,
Tę piosnek rozchodzą się rzewne.

Popularność Longfellowa w Anglii była tak wielką, że w 1874 r. Uniwersytet Edynburski zaprzagnął uczynić go swoim lordem rektorem, jakkolwiek Dizraeli ubiegał się o tę godność, wysoką w angielskim naukowym świecie, a którą poeta amerykański byłby dostał, nie poszukując, gdyby nie silne zabiegi stronników Disraeliego. Utrzymał się on przecież bardzo małą, bardzo nieznaną większością głosów, choć było to już w chwili jego wysokiego znaczenia, jako statysty i męża politycznego.

Longfellow tłumaczył wiele z wszystkich niemal języków europejskich, co już wchodziło niejako w zakres jego professorskiego zawodu i było do jego potrzeb koniecznem. Do najpiękniejszych przekładów, jakie my z tego poety posiadamy, zaliczyć trzeba przekład Asnyka poezyi *Excelsior*. Młodzieniec, który niosąc sztandar z dziwnym godłem: „Excelsior” chce, niczem niewstrzymany, przebyć drogę wiodącą przez najwyższe szczyty Alp; czy to także nie poeta? Padł w pół drogi, ale sztandaru z dłoni nie puścił.

I w szarem świetle porannych zór,
Martwy, lecz piękny, spoczywa już,
A z toni niebios, pogodą tchnącej,
Głos, nakształt gwiazdy mknął spadającej:
Excelsior!....

Ostatni wiersz, który sędziwy poeta napisał w Kwietniu 1879 r., jest: *Pogrzeb poety*. Czy myślał wtedy o sobie, o swoim ostatnim rozstaniu się z ludźmi? Wiersz jest krótki, spokojny i lekko smutny. „Na skraju cmentarza rodzinnego miasta, pogrzebano poetę pod murem, położono go tam śpiącego, snem, który przychodzi na wszystkich. Śnieg padał, jakgdyby niebo przysyłało zmarłemu białe kwiaty rajskie, i pokrył mogiłę, a gdy wieczorem wszedł księżyc i luna srebrna rozpostarła się ponad ziemią, cienie bezlistnych drzew cmentarza wyciągające konary w kształcie ramion krzyża, popisały mogiłę niby czarnymi głoskami, na podobieństwo tego, jak śmiertelna koszula Salady, popisana została wersetami Koranu. Ale stokroć większa tajemnica i stokroć wyższy tryumf zamykał się w znakach, które cień i światła kreśliły na tym grobie”.

Marya Ilmicka.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Dzień się zdarzył pogodny i nie nazbyt mroźny. Na placu około królewskiego zamku od rana zalegały tłumy, a dla zamożniejszych widzów, którzy na zamku miejsca znaleźć nie mogli, wystawione z tarcie rusztowania, wszystkie już zajęte były. Tu, chcąc Zaborską zawczasu wdrożyć do tego porządku, pani Gilles przybyła wcześniej z Faustysią, a Grobińskiego, ustrojonego choć na pokoje królewskie, dała Zaborskiej. Aby mu zaś ochota nie odpadła do opiekowania się starą malowaną babą, wmowiła w niego, że bardzo była bogata; i że sobie szukała właśnie takiego już poważnego a spokojnego małżonka, jakim on był.

Naprzód tedy oczom ciekawych ukazały się złociste powozy królewskie, wiozące Augusta III z saskiego pałacu do zamku.

Ten, którym król jechał, szybami szklanymi w brązowe ramy oprawieni cały ostawiony, dozwalał widzieć rumiane lice wesołe Sasa, który uprzejmie na wsze strony uśmiechał się i kłaniał. Otaczały karety pułki saskie, całe galonami złotymi i srebrnymi oszyte, strojne i do parady pono lepsze niż do wojny. Jechali na koniach i dygnitarze polscy, towarzyszący N. Panu. Orszak nadzwyczaj świetny przeciągnął przed oczyma widzów i zniknął w podwórcach zamkowych.

Zaraz potem kareta owa, wyzłacana i oszklona, sześcią białymi końmi zaprzęzona, wróciła do saskiego pałacu po królewicza, i po chwili ukazał się on w niej, otoczony dworem kurlandzko-polskim, wśród którego piękny, zręczny, na kosztownym hiszpańskim koniu skarogniadym, młody Brühl, koniuszy księcia, wszystkich oczy zwracał na siebie.

Oprócz tych dwu kawalkat królowi i księciu towarzyszących, było na co patrzeć dokoła, gdyż od zamku ku Krakowskiemu Przedmiesciu stały polskie i niemieckie pułki miasta Warszawy, umyślnie na dzień ten uformowane, cechy z chorągwiemi i godłami, mieszczaństwo strojne i wygalonowane.

Stolarski tylko cech humorystycznym sposobem się ubrał, zamiast galonów do sukni, ponaszywawszy strużyny z drzewa, zdala wcale pokaźne. Słowem: było naco patrzeć pod gołym niebem, a potem i na zamku, kędy się ta ceremonia oddawania chorągwi lennej odbywała.

Stał tu chorąży nasz, dla bezpieczeństwa nieco o ścianę sparty, starając się, aby mu w zmęczonych rękach litewska pogoń nie drgała. A że nogi ciepły i drętwiały a marzły choć w butach

futro miał, coraz musiał niemi poruszać. Wszyscy ci dygnitarze koronni i litewscy na poduszkach dzierżący insygnia, miecznicy z obnażonemi mieczami, cały orszak pana od złota i drogich kamieni połyskujący, wspaniały obraz przedstawiał.

Na twarzy króla widać było radość wielką, bo syna tego kochał bardzo, a wyrobienie mu księstwa kurlandzkiego nie przyszło łatwo; lecz chwilami wzrok niespokojny mierzył salę bojaźliwie. Potężna rodzina Czartoryskich stała naówczas w obozie królowi przeciwnym, a raczej temu, który go zastępował, Brühlowi. Zrywała ona sejmy i sejmiki, bruździła okrutnie; lękał się jej król, i tego dnia z rana doniesiono mu, że Czartoryscy nawet inwestyturze przejść spokojnie nie dadzą, i coś splotają, co uroczystość tę zakłóci.

Chociaż Brühl, Radziwiłłowie, Potoccy i dworska partya zaręczyli królowi, iż żadnego takiego wystąpienia nie dopuszczą, choćby śmiała rozsiewać przyszło, król jednak rzucał oczyma po twarzach otaczających, obawiając się ciągle jakiejś manifestacji. Widać to było po nim, gdyż najmniejszy odgłos, szmer, okrzyk silniejszy, wstrząsał purpurą płaszcza, który miał na ramionach.

Wreszcie długie mowy przebrzmiały, a marszałek koronny zamknął je dziękczynną, i August III już z tronu miał się ruszyć, gdy półwaryata, niejaki Cyprus Wolski, z którego się ludzie śmiali, wyrwał się z tłumu z wiwatowym okrzykiem, wiersze jakieś rozrzucając drukowane na wszystkie strony.

Król, który ciągle miał na myśli jakiś protest Czartoryskich, pobladł i cofnął się.

Mniszech, marszałek koronny aż Wolskiego laską po głowie uderzył, wołając — błazen, i ten wyraz złowrogi był podobno ostatnim, który na sali słyszano.

Gdy książę chorąży nareszcie drzewce, od którego mu ręce zdrętwiały, mógł postawić w kącie i nogi poruszyć, uczuł się tak złamanym i zmęczonym, że się obejrzał za kimś, coby mu rękę mógł podać.

Szczęściem znalazł się szambelan Kaszyc niedaleko i pośpieszył do księcia, który nim-by na ucztę ten dzień kończącą do pałacu pojechał, chciał choć trochę w domu odetchnąć. Inwestytura należała już do przeszłości; za dni cztery miało nastąpić polowanie, w przekonaniu księcia chorążego, mające zaćmić jeżeli nie wspaniałością, to oryginalnością, nawet inwestyturę.

Im się ta chwila zbliżała bardziej, tem książę większym trawionym był niepokojem. Powtarzał ciągle, że szło o honor Domu Radziwiłłowskiego, który musiał wystąpić tak, aby się z nim nikt mierzyć nie mógł.

Tknęło to księcia, który nieco przesądny był, że w czasie uroczystości jakiś Wolski tak się źle spisał.

— A nuż omen! — myślał sobie. — Potrzeba mi było Butryma odpędzać!

Z tym frasunkiem zajechał chorąży do Radziwiłłowskiego pałacu, ciągle w głowie mając to nazwisko Wolskiego. Niespokojnym był już tak, że, niewysiadłszy z powozu, konnego bojara, stojącego do posyłek w podwórz, pechnął do Ujazdowa po Łowczego, aby natychmiast przybywał.

Wolski, choćby był rad dworował panu swemu, nie mógł teraz, tak wiele wziął na głowę swoją. Nie obrachował się, chciwie a zazdrośnie porównując na to, co innemu należało, iż będzie tu miał do czynienia i z niechętną czeladzią i ze zwierzem, które znał tylko w lesie. Butrym już miał pewne doświadczenie, okupione drogą; on się tu łamał i złościł, rady sobie dać nie umiając, z tysiącem trudności, zwierzę mu co nocy zdychało i uchodziło. Księżu już o tem nie donosił, ludzi tylko siekł, a sam się wściekał.

Na dobitkę byli tacy, starzy różni znajomi, co, do Białej jeżdżąc, tam go poznali, których tu do Ujazdowa ciekawość sprowadzała; ci, widząc go zakłopotanym i złym, drwili z niego.

Z cudzej biedy się naigrawać — czyni czasem płochym ludziom przyjemność. Podkoniuszy księcia, Dederko, który choć z Wolskim niby dobrze był, ale na wylot go znając, nie lubił go, należał

do tych właśnie, co mu najwięcej gorącego sadła zalewali za skórę.

Dederko wiedział dobrze, iż się Wolski zalecał do Zaborskiej. Żartował sobie z tych zalotów, nie jeden raz, a teraz właśnie, widząc, że Wolski tak jest zajęty, iż na Pragę zajrzeć nie może, ciągle go Faustysią przesładował.

— Zobaczysz, że ci się Butrymy odpłacą zato, żeś tamtego z kwitkiem odprawił, — mówił Dederko. Prawda, że ci się to zręcznie udało, ale na biedę księżę za sobą kazał babom jechać. Tu ci ja Butrymy porwą, jak amen w pacierzu.

— Ten się do niej nigdy nie miał! ani patrzył na nią — co pleciesz! — odparł Wolski.

— Ja to wiem, ale ich tu dwóch jest! na moje oczy widziałem i wiem, — mówił Dederko.

— Jakto? — i tamten? tu!? — krzyknął Wolski.

— I tamten! — śmiejąc się potwierdził podkoniuszy.

Wolski wargi do krwi zakąsił.

Właśnie w chwili, gdy mu tego klina zabił Dederko, nadbiegł bojar, wołając wskok do księcia. Siadł na koniu pan Łowczy i poleciał. Gdy na podwórzec pałacowy wpadł, koń się rozparł zdyszany, tak go gnał bez litości. Księżę, zobaczywszy go, począł łajać, że mu raportów nie zdawano, co się na Ujazdowie działo.

— Ja głowę tracę! — zawołał Wolski.

— A ja ci ją z karku zdejmę, jeżeli mi w czem chybisz — to sobie zapisz. Jakem Radziwiłł!

Łowczy potarł tylko czarne pokrecone włosy.

— Mało tego było co ze zwierzem mam, — rzekł, — przybył kłopot nowy, którego księżę sobie sam napytał.

Chorąży zapłonął gniewem.

— Zwaryowałeś? — burknął.

— Nie, — rzekł Wolski śmiało. — Potrzeba było te baby wlec za sobą? Otoż wiem napewno, że ten bestya Butrym, bratnaszego, ten, com go w Białej szukał, przepędził tu za Zaborską, i tu ją, jak nie, gotów księciu wziąć zprzed nosa.

Chorąży, który właśnie najmocniej był za swą perelką stęskniony, i w którym miłość chorobliwa oddaleniem od niej się wzmogła — rękami się uderzył po głowie.

— Kłamiesz — zawołał.

— Prawdę mówię, widział obu razem Dederko, spiskują, a że myślą dziewczynę pochwycić — na to gardło daję.

Jakiś czas milczał księżę, chciał powstać z krzesła, nogi mu drżały, a tu na obiad królewski jechać potrzeba było, i radzić długo nie miał czasu. Brwi mu się ścisnęły, kulaki oba pościskały.

— Dziesięciu kozaków najlepszych mi wybierz, cztery konie najsilniejsze, i żeby mi dziś przed wieczorem obie Zaborskie na brykę wsadzić, nie pytając nie — do Białej!

Wolski, który się tak radykalnego środka nie spodziewał, stał niemy.

Chorąży nogą tupnął.

— Słyszysz mnie — jakiś! Dziesięciu kozaków dworskich, cztery najlepsze konie do bryki i dziś w wieczór żeby mi ich tu nie było!

Księżę wstał i zawołał na hajduka:

— Sawery — szabla i czapka! — do pałacu. Prosić szambelana Kaszyca.

Nie odchodził jeszcze Wolski, sądząc, że księżę wyda jaką dyspozycją dodatkową, ale chorąży, wzburzony strasznie, ani patrzeć nań, ani mówić do niego już nie chciał.

Wolski wyszedł, z podłoba spoglądając z sztynderskim wyrazem na swojego pana, który łajał, rozkazywał a robił tylko to, co mu on umiał podać.

Od przybycia chorążego i Wolskiego do Warszawy, z polecenia hetmana, który sam do niego zbliżał się nie chciał — czatowano na Wolskiego — aby od niego zasięgnąć wiadomości o tem, co brata trapiło i niepokoiło, o — chorążego testamentie.

Hetman, po dość długiem niewidzeniu się z bratem, znalazł go teraz tak zmienionym, z twarzą tak hypokratyczną, bladą, nalaną, schorzałą, iż się strwożył mocno o jego życie. Badano zręcznie doktora Dubiskiego, który odpowiadał, że chorąży byle od gniewu, wszelkich excessów i zbytnich poruszeń się wstrzymał, długie jeszcze lata ciągnąć może.

Wiedzano w Nieświeżu przez innych, że chorąży, w chwili, gdy na hetmana był nadąsany, o testamentie przemyślał. Nalegał na zrobienie testamentu Wojewoda Czarniechowski, domyślano się, iż biskup Ptolemaidę, który się często z księciem zamykał, był używany do pisania go.

Szło o dowiedzenie się od Wolskiego, który miał tę reputację, że penetrował, nietylko, co się w sercu i myślach, ale co się po zamczystych szufladkach biurka księcia chorążego działo — czy koncept testamentu był pisany.

A Wolskiego na tą poufną rozmowę w kącie, tak, aby ona oczów nie zwracała, złapać nie było można.

Księżę hetman, który się także na obiad do króla wybierał, zobaczył właśnie przybiegającego Wolskiego. Sam on, ani mógł, ani myślał się z nim wdawać, gdyż wychrzty, który brata zdradzał — cierpieć nie mógł i nie był pewien, czy jego też nie sprzeda.

Posłał więc jednego z zaufanych swych. Ponikwickiego, aby go na kurjatarzu schwycił, zwykły lenung mu wręczył i wziął go na spytki.

Gdy Wolski, spiesząc się bardzo, aby spełnić natychmiast rozkaz chorążego, biegł do konia. — Ponikwicki go pod rękę chwycił — wołając: — Na momencik! — i wciągnął za sobą do pustej kancelaryi.

Począł od tego, że rulonik z dukatami mu wciśnął, szepejąc, iż to była remuneracja wiadoma. Wolski, zarumieniwszy się, dziękował, chowając rulonik do kieszeni, i już chciał się oddalić, gdy Ponikwicki go wstrzymał.

— Cóż się dzieje z testamentem? — księżę ciekawo bardzo. Powiadają, że albo spisany jest, lub przygotowany.

Machnął ręką Wolski i począł się uśmiechać złośliwie.

— Mowa o nim dawno, a szczególnie z naprawy Wojewody Czarniechowskiego, który o los córki jest niespokojny — ale nigdy do napisania testamentu nie przyjdzie.

— A cóż znaczą narady z księdzem Riokurem?

— Nic one nie znaczą — rzekł Wolski. Księżę ma przesąd starych ludzi, że gdy testament napisze, może mu to śmierć przyspieszyć: więc będzie zbierał się, mówił — a nie robi. I gdyby go pisać chciał, to go biskupowi nie da koncyptować, ale Matusiewiczowi, w którego wierzy prawnicze zdolności.

— Jesteś tego waćpan pewien? — zapytał Ponikwicki.

— Mogę ręczyć za to, co mówię — odparł Wolski — a gdyby do pisania testamentu przychodziło, potrafię mu przeszkodzić, choć przeciw własnemu interessowi; ale niech-że księżę hetman o mnie pamięta.

— Za to ręczyć mogę, iż waćpanu zawdzięczy — odezwał się Ponikwicki — gdyby jednak zawiedzionym być miał...

Spojrzał w oczy Wolskiemu, który to zrozumiał, że mu nie ufano.

— Wiem ja to — rzekł cynicznie — iż, pana mego dla miłości księcia hetmana zdradzając, zaufania przez to sobie nie kupię, ale się przekonacie, komu sprzyjał i służył.

To mówiąc, uklonił się i chciał odchodzić, gdy Ponikwicki go zatrzymał jeszcze.

— Pamiętajcie-ż to, że testamentu pisać nie dopuscicie! — dodał.

— Żeby zaś mi to łatwiej przyszło — odezwał się Wolski — niech księżę hetman ujmie Matusiewicz — by, powołany do pisania, zwlekał.

Byłby jeszcze na dłuższą gawędę zatrzymał go Ponikwicki, ale Wolskiego już piekło nietyle do Ujazdowa, ile na Pragę, aby natychmiast kobiety do Białej pod eskortą wyprawił.

Wyłomaczyl się grzecznie, siadł na konia i gdy karety z pałacu do króla wyruszały, wioząc hetmana, chorążego i młodego miecznika, on, ulicą przemknawszy się, popędził na Pragę.

Tu, jejmście powróciwszy z miasta, jeszcze się zabawiał wesołą rozmową i Faustysia nawet więcej niż zwykle była ożywiona, a pani Gilles śmiała się i podskakiwała, gdy Wolski zjawił się w dziedzińcu.

Na widok jego, Faustysia spoehmurniała. Zaborska się uradowała, pani Gilles skrzywiła. Wol-

ski, o niczem nie oznajmiając kobietom, z prawdziwie szatańską przebiegłością ułożył przygotowania do odjazdu. Nie zsiadając z konia, kazał brykę wytoczyć, smarować i zaprzęgać. Dokąd iść miała, nie nie mówił; sądzono, że do Ujazdowa lub na miasto. Potem posłał po najśmielszych kozaków dworskich, dziesięciu, których po imionach mógł wyliczyć, bo ich znał wszystkich. Sotnikowi powiedział, że to rozkaz jest księżęcy: natychmiast na konie siadać.

Z okna izby, w której pani Gilles z Zaborskiej siedziała, rozmawiając o pięknym młodym Brühl, o księciu Karolu, o młodzieży, która na koniach harcowała tak zręcznie — widzieć było można wszystkie przygotowania, jakie Wolski czynił.

Zaborska dziwiła się, że Wolski ani na chwilę do nich nie wstąpił i z konia nie zsiadł. — To mu pilno! — szeptała.

Spostrzegła Zaborska, że brykę, którą ona przyjechała, wytaczano z wozowni i pośpiesznie wzięto się do smarowania.

— A to! osobiwsza rzecz! — rozśmiała się — jakby piękniejszych powozów im zabrakło do miasta, brykę tę, którą nas tu przywieziono, widzę, w rekwizycją biorą.

Faustysia serce jakoś bić zaczęło, spojrzała na p. Gilles. Nie domyślano się jednak nic jeszcze.

Nim konie do bryki zaprzęgać zaczęto, dworscy kozacy, chłop w chłopa, jak dęby, uzbrojeni, poodziewani do podróży, zjawili się na koniach i stanęli w dziedzińcu.

— Zaprzęgać! — krzyknął Wolski — a żywo!

To mówiąc, z konia u ganku zsiadł i oddawszy go czekającemu parobczakowi, zwrócił się ku mieszkaniu Zaborskich. Stara do niego wyszła ku progowi.

Faustysia z p. Gilles chciały wyjść do drugiej izby, gdy Wolski z ustami skrzywionemi znacząco i miną dumną ukazał się we drzwiach.

— A przecież pan łowczy sobie o nas przypomniał — zawołała Zaborska.

— Żeby nie chciał, to-bym musiał — rzekł szorstko Wolski — bo mnie jasnie oświecony pan przysła.

Faustysia i p. Gilles posłyszawszy to, zatrzymały się w progu.

— Niemile mam poselstwo — dodał — ale pan każe, sługa musi. Księżęciu doniesiono, że się tu ktoś kręci około państwa, a w Warszawie upilnować trudno. Kazał mi natychmiast jejmność z córką wyprawić do Białej.

Krzyk matki, Faustysi i p. Gilles przerwał mu mowę.

Wolskiemu nie mogło nic miłszem być, nad zrobienie przykrości Faustysi, która nim gardziła. Śmiał się.

— Proszę się wybierać, bo ja ztąd się nie ruszę, aż będziecie w bryczce siedziały, a czasu nie mam. Zaborska ręce nad głową załamała.

— Słyszana to rzecz! — jak Boga kocham. Ja leczę do księcia. To nie może być!

— Księżę na obiedzie u króla, a ja nie puszcze ztąd krokiem, tylko na brykę.

Gilles w pierwszej chwili miała na myśli pochwycić za rękę Faustysię i z nią razem uchodzić, ale nie było kędy. Dom do koła otaczali kozacy.

— Niema co sumentować — rzekł Wolski — albo się jejmność pakuj, lub ją bez tłumoków na brykę wsadź.

Faustysia, do pokoiku swego wbiegłszy, padła na łóżko i płakała.

Ale co tu było począć? Słuchać musiały.

— To nie, to nie, — szeptała jej na ucho Gilles, — ja natychmiast dam znać Butrymom, na drodze was odbić mogą. Jedźcie. Już musieli coś zwąchać.

Stara Zaborska, napróżno chcąc Wolskiego ubłagać, który swoje powtarzał i naglił — w końcu z rozpaczki pobiegła rzeczy do kufrów i tłumoków zrzucać. Łowczy chcąc przyspieszyć pakowanie, zawołał na sługę, sprowadził dwóch czeladzi, patrzył nieustannie na zegarek i powtarzał:

— Nic nie pomoże. Rozkaz księcia! niema rady. Jechać trzeba. Niechaj pani zato Butrymom podziękuje.

Gilles nie mówiąc słowa, wściekła na Wolskie-

go, pomagała do wyboru w drogę i pocieszała Faustysię, ciągle jej coś do ucha szepcząc.

Z ludzi radziwiłowskich, co na Pradze zostało, zbiegło się wszystko do tej bryki i kozaków, rozpytujać, ciekawiąc co ten nagły odjazd miał znaczyć.

Choć Łowczy naglił, do mroku się Zaborska nie mogła upakować. Brakło jej ciągle czegoś, prawdę rzekłszy spodziewała się, iż może coś odjazdu wi przeszkodzić.

Naostatek gdy już siadać przyszło do bryki, Faustysię zapłakaną i osłabłą musiano niemal na rękach wnieść do niej. Biedne dziewczę z rozpaczy straciło prawie przytomność, a lzy te, wielkiego znaczenia dla Wolskiego, dowodziły, że dobrze się stało, iż książę je do Białej odsyłał.

Kozacy na komendę otoczyli brykę dokoła, starszy nad niemi dziesiętnik Hrysza miał rozkaz bez zatrzymywania się po drodze nad czas dla koni koniecznie potrzebny, wprost jechać do Białej.

Wolski kartę mu dał do burgrabiego zamkowego. Słychać było jęk i płacz Faustysi z za skórzanymi firanek żegnającej Gilles, gdy Łowczy zakomenderował:

— Ruszać!

Woznica konie zaciął, i całą gromadka wyciągnęła z dziedzińca. Pokręcił wiasa Wolski.

— Zjedzą licha, żeby mi co zrobili...

Rozśmiał się wesoło i na Ujazdowskie Pole po-
klusował.

Gilles stała długo w ganku, lzy ocierając, gniew i niepokój starając się stłumić w sobie, a szukając sposobu, aby copredziej dać znać Butrymom lub Bohuszewiczowi. Ale było to niepodobienstwem, bo wcale nie wiedziała gdzie ich szukać, a według wszelkiego podobienstwa oni się dnia tego już do niej zgłosić nie mieli.

Musiła czekać jutra, a tymczasem bryka, której śpieszać kazano, dobry kawał drogi zrobić musiała i o dognaniu jej nie mogło być mowy. Przy największym meztwie trzech desperatów, którzy gotowi byli rzucić się na dziesięciu, zwycięstwo nad kozakami było więcej niż wątpliwe.

W chwili, gdy wszystko zdawało się składać najpomyślniej, gdy Gilles już tryumfowała, jak piorun na nią spadła ta niespodzianka.

IMPan Grobiński, który zmieniwszy strój paradny, nadszedł w tej chwili chcąc zabawić Zaborską, zastał izby puste, drzwi otworem i wdrapał się na górkę dowiedzieć co się tu stać mogło.

— Nieszczęście! nieszczęście! — zawołała Gilles, zobaczywszy go, jakaś zazdrość czy fantazyja przyszła do głowy chorążemu i kazał odwieźć kobiety te nieszczęśliwe do Białej!

— Pchł! — wyjąknął Grobiński, — do Białej! Jak asindzka uważasz: czy ja mogę pojechać za Zaborską aż tam?

Gilles spojrzała nań zdziwionemi oczyma, przypomniała sobie teraz dopiero, że mu ją jako bogatą wdowę polecała, a Grobiński na seryo wziął to i gotów był jechać rozpoczęte dobijać konkury.

Żał się jej zrobiło, niemłodego już człeka, który darmo mógł się tracić na niedorzeczne koperczaki.

— Daj acan pokój! — odparła. — W Białej, słyszę, jak w kłasztorze lub niewoli, docisnąć się do nich nawet nie można. Darmobys się wyexpensował i zadrurył.

— Tyran, jak Boga kocham, ten książę chorąży! — zamruczał Grobiński.

Widok placu, na którym książęce te i królewskie łowy odbywać się miały, dla tych co puste pole nad Wisłą niedawno oglądali, musiał się czarodziejskim wydawać.

Tylko taka fantazyja pańska, mająca na posługi kawał kraju, tysiące ludzi, skarbiec zamożny i wolę nawią, by się przed nią wszystko ugięło, mogła dokonać coś podobnego.

Zwierzta przygnano i przywieziono aż z lasów Śluckich i Bialskiej puszczy; nagie pole drzewami na ten jeden dzień zasadzono, które potem pousychać i przez rozchwytnię być miały. Więcej niż na pół mili bito częstokoły i stawiono parkany.

Wśród sztucznego lasu powysypywane żwirem

ulice, wily się, według obmyślanego planu dla łowów.

Prawie na środku placu wystawiony był pawilon dla króla, dworu i dostojnych gości, dosyć obszerny, by ich wygodnie mogli pomieścić. Sklecono go z desek tylko, ale ubrano tak jak na przyjęcie N. Pana przystało.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

George Dandin, komedia Moliera, w 3 aktach, i role gościnne Józefa Rychtera. — Gra artystów w *Preludium Szopena*, obrazku dramatycznym w 1 akcie p. M. Gawalewicza. — *Dwie miary*, komedia w 1 akcie, Zofii Mellerowej. — *Prelegent*, komedia w 1 akcie, p. Kościelskiego.

Publiczność warszawska wdzięczną być może Rychterowi, że gościnami rolami swemi od kilku lat przypomina jej, czem był dawniej dla sceny naszej jako stały jej współpracownik. Umiemy cenić ten talent niezaprzeczony, tę pracowitość w pojęciu i przeprowadzeniu każdej roli, tę umiejętność w jej oddaniu, ten szczerzy zapal i miłość sztuki prawdziwej, poważnie pojmowanej, — przymiotami temi artysta ten zawsze się odznaczał i dziś jeszcze, pomimo posuniętych już znacznie wskazówek na zegarze życia, przymiotów tych nie utracił. Niezawsze z pełnem odchodzimy zadowolaniem, ale wiemy przecież, że wszelki laur dzisiejszy zwykły wieńczy wczorajsze zasługi, lecz świeżość swoją zatrzymuje dopóty, dopóki trwa tych zasług pamięć, przez dobrą wolę, poważną pracę, pobożnie strzeżoną. Jeżeli wytwórczość nie jest dziś doskonałą, nie od wytwórcy to już zależy. Rychter w rolach staropolskich i klasycznych Moliera i Fredry jest dziś jeszcze bardzo szacowną siłą sceniczną, a młode pokolenie artystów niejednej rzeczy od niego nauczyć się może: powinno tylko patrzeć z uwagą a bez zarozumiałości. Rychterowi zawdzięczamy dobrego *Świętoszka*, przepysznego *Skapca*, wyborne role w komediach Fredry. Repertuar artysty, stały i niejako zniechęcony, podczas obecnych występów wzbogacił się jedną rolą molierowską, dotychczas u nas nieznaną, *Jerzym Dandin*.

Czy *Dandin* jest komedią? Zdaje nam się, że nie. Gdyby był komedią, nie miałby charakterów nawskroś karykaturalnych i karykaturalnego nieprawdopodobienstwa w działaniu i stosunkach łączących działaczy. Tosamo już, że temat tej komedii wzięty jest z Boccaccia i jednego z późniejszych nowellistów włoskich, przechyla szalę sądu na rzecz tych, którzy *Dandina* za zabawkę, a nie za poważne dzieło Talii uważają. Molier, aby być Molierem, nie potrzebował pisać samych tylko *Mizantropów*, *Skapców* i *Świętoszków*: napisał *Dandina* i był także Molierem. Jest on tam cały ze swoim stylem, ciętym, dowcipnym, wyrazistym, plastycznym jak dłuto rzeźbiarza, obrazowym jak pedzel; jest ze swoją ironią i satyrą; jest wreszcie z tą niepodległością myśli artystycznej, która się nigdy do moralizowania nie posuwa. *Dandin* to wesoły żart, zaprawny ostrą satyrą, wywołujący śmiech i uciechę widza, żart molierowski, ale nie więcej. Sam bohater tej sztuki jest karykaturą, niezdolną skupić w sobie wszystkich znamion zasadniczych spotykanych w tysiącach odmian i milionach osobników: co właśnie istotę typu stanowi. Inne postaci samą podreźdnością swoją usuwają wszelką wątpliwość. Takie talenta jak Molier, jeśli piszą poważne komedye, to już dają w nich typy pobudzające do myślenia i naśladowania w sztuce. Celem *Dandina* jest jedynie sprawienie uciechy widzowi.

Uznanie w jakim stopniu sztuka cel ten osiąga, zależy od osobistej delikatności zmysłu moralnego, od większej lub mniejszej tęgości obyczajów, a raczej ideału obyczajowego w danej epoce. Co do nas, przyznajemy, że *Dandin* na scenie widziany niesmak jakiś wzbudza: naigrawanie się z małżonka zdradzanego w ten sposób, z pomocą takich charakterów i takiego mechanizmu scenicz-

nego, jest naigrawaniem się z samego małżeństwa. *Tu l'as voulu, George Dandin!* — stało się jednym z *Geflügelte Worte*, obiegających po świecie; z komedyi, ze sceny sztucznej, wdarło się ono nieraz na scenę żywą świata; brzmiało w najpoważniejszych chwilach, przy najpoważniejszych zajęciach. *Dandin* mówiący samemu sobie: „masz na coś zasłużył, dobrze ci tak“ nie myli się bynajmniej; ale Molier w tem słowie rozgrzeszył i samo wiaryłomstwo: jeden jeszcze więcej powód, aby sztukę całą uważać za prostą zabawkę wielkiego talentu, który z niej wszakże poznać się już daje wybitnie, jakim jest w poważnem tworzeniu swoim.

Rychter pojął rolę *Dandina* bardzo dobrze; nie był może takim *mari confondu*, jakiego chciał mieć, i może w gromadzie swej miał, Molier, ale grał żywo, z przyjęciem się a miarą szlachetną, nie *szarżował* — co w tej roli jest bardzo łatwem — i ostatecznie sprawił wrażenie dodatnie. P. Tarkiewicz trzymał się przyzwoicie jako wicehrabia. Na pochwałę jeszcze zasługuje p. Krogulski, dlatego, że p. Krogulski, za famulusa; ale nie możemy już pochwalić ani p. Lüdowej (żony), ani obojga rodziców (p. Niewiarowska i p. Rapacki): grali oni sztywno, ślamazarnie, bez humoru — a sztuki takie właśnie wymagają jaknajwiększej żywości w przedstawieniu. Rozumieją to Francuzi i do wymagania tego ściśle się stosują.

Obrazek p. Gawalewicza: *Preludium Szopena* wydrukowany w NN. 27 — 30 „*Bluszczu*“ z r. z. wystawiono d. 6 Maja r. b. w Teatrze Letnim. Byliśmy na dwóch pierwszych przedstawieniach: pierwsze uważamy za ostatnią próbę, drugie szło już dość gładko. P. Ładnowski (Daniel) w samym początku sztuki zmienił i pozycyą swoją i pozę i wysłowienie, a to ostatnie było za pierwszym razem tak przesadzone, że przeszywało uszy. Zyskała i rola Laury (p. Wiśnowska); trochę ulepszyli grę swoją p. Prażmowski (Ludwik) i p. Marcello-Chraszczewska (Ewa): ale nie-by nie szkodziło, gdyby obie te role jeszcze raz przestudyowano; wątpimy tylko: czy p. Prażmowski, nawet przy dalszej pracy, pozbędzie się swojej sztywności. Wogóle sztuka potrzebuje być lepiej graną. Z powodu przedstawienia *Preludium* uczyniono autorowi zarzut niepoprawności języka, nie wytykając atoli żadnego błędu rzeczywiście popełnionego; ogólnikowo tylko powiedziano, że autor z przeczeniem używa przypadku czwartego. W *Bluszczu* i w osobnem odbiciu żadnego takiego błędu niema; ale mógł być na scenie. Słuchaliśmy pilnie na obu przedstawieniach: błędy, które tak przesładowały krytyków, czułych na czystość języka, poukrywały się gdzieś przed słuchem profanów. Najlepiej byłoby wziąć książkę i wskazać jedno po drugim wiersz i stronę. Tak samo płonnym jest zarzut, jakoby w *Preludium* znajdowały się wyrażenia wykraczające przeciwko charakterowi sztuki salonowej. I ten zarzut również postawiono gołosłownie; ale taka to już moda u nas.

Dwie miary p. Mellerowej, napisane już dawno i odznaczone na jednym z konkursów dramatycznych, po kilku latach istnienia urozmaiconego przedstawieniami na mniejszych scenach, w tych czasach dopiero ukazały się na głównej. W tytule samym jest już satyra na mężczyzn: lecz, o rodzice mężki, rodzice jaszczurczy, mający zawsze dwie miary: jedną dla siebie, drugą dla kobiety, ciągle przez ciebie krzywdzonej i upośledzanej — ty rodzice mężki — mówię — nie drzyj i podnieś czoła: najstraszniejszym w tej sztuce jest jej tytuł; sama sztuka stoi przed tobą bezbronna, besilna, czeza i mdła — i jako taka nic złego zrobić ci nie może. *Vox, vox; praeterea nihil*: cały piorun w tytule i w tyradach pani Cecylii, żony Seweryna (pani Lebrun i p. Tarkiewicz) oraz Pauliny, żony Bojtwiła (pani Lude i p. Rapacki); a te przecież spokojnego snu nikomu nie odbiorą. Gdyby rzecz była napisana istotnie dramatycznie i prawdziwie rozumnie; gdyby od chwili w której poczyna się rozwijawanie węzła — najnieprawdopodobniejszej i najnieprawdziwej zawiązanej — komedya nie była prostem widowiskiem z szopki, pozbawionem choćby najsłabszych nawet, ale rzeczywistych czynników duchowych; gdyby w niej byli rzeczywiscie ludzie stworzeni z gliny, a nie figurki powycinane przez autorkę z papieru — gdyby

zamiast tej całej, wielce złożonej, maszyneryi rozwiązania, autorka wprowadziła była ruch dramatyczny, dokonywający się z prostotą prawdy, a pod przewodem gorącego a rozumnego natchnienia — gdyby, gdyby... ach, wtedy słuchacz należał do owego rodzaju jaszczurczego musiałbyś albo przepaść, albo z przewrotnego serca swego wydrzeć sobie pałacę żądło prawdy, którąby cię sztuka ukąsiła. Ale tak, jak jest, komedia p. Mellerowej zamiast być groźną dla ciebie, sama jeszcze potrzebuje łaski twojej, abys jej do końca z zajęciem rzeczywiście, z zadowoleniem zupełnym mógł wysłuchać. Początek aż do owej chwili, kiedy Seweryn sięga do koszyeczka i wyciąga z niego list Szaleja (p. Wolski), jako rzecz dramatyczna w ogóle dobrze jest zrobiony; znajdziesz w nim i dowcip, przypominający wodę królewską, i potoczność wysłowienia i żywość rozmowy, choć niema charakterów, tylko cienie ich na ścianie rzucane; alez od tej chwili! Nie pojmujemy: jak rzecz taka na konkursie utrzymać się mogła.

Swoję dwumierność wzięła pani Mellerowa z każdakolwiekby, tylko nie ze spokojnego patrzenia w życie, w naturę mężczyzn i kobiet, w naturę ludzką w ogóle. Gdyby patrzyła spokojnie, przekonałaby się, że owe dwie miary nie są tylko ani samych mężczyzn, ani samych kobiet właściwością, ale stanowią jeden z atrybutów podrażnionego egoizmu, wspólnego zarówno jednej jak i drugiej połowie gromady ludzkiej. Egoizm, nieopanowany przez uczucie sprawiedliwości, nie kierowany przez rozum, nieuszlachetniony przez miłość idei, lecz rozżarzany przez namietność — zawsze i wszędzie, przeciwstawiając się innym, te dwie miary jedną dla siebie, drugą dla innych, mieć będzie. W uniesieniu czy opętaniu trwałem przez namietność, niesprawiedliwości dopuści się zarówno mężczyzna, jak i kobieta.

Wytykając tutaj fałsz rozumowy, nie myślimy bynajmniej ani zapuszczać się w długie wywody ani polemizować z autorką; zwrócimy tylko jeszcze jej uwagę, że stanęła na grząskim dość gruncie, uważając owe dwie miary za wyłączną własność samych tylko mężczyzn. Dostrzeganie życia przekonało nas o czemś wręcz odmiennem. *Sit venia verbo*. Dwumierności owej częściej ulegają kobiety niż mężczyźni, a to dlatego, że rządzą się więcej bezwiednością, porywami i instynktami; uczucie sprawiedliwości jest w nich słabsze, zdolność odrywania się od swego serca mniejsza, rozum w działaniu swem bardziej przygnębiony a w istocie mniej rozwinięty, niż u mężczyzn. Kobieta, gdy kocha, to już kocha lepiej, bezwzględniej niż mężczyzna, któremu wolno tylko w pierwszej wiosnie życia roztopić się całkiem w ogniu, czy w wodzie rozpuścić, i nic nie zachować dla obowiązku, dla społeczeństwa, dla świata. Kobieta jest delikatniejszą, czulszą na drobne pyłki unoszące się w duchowej atmosferze stosunków ludzkich, zdolniejszą do poświęcenia, wytrwalszą w cierpieniu; jako żona lepiej dochowuje wiary, jako matka lepiej spełnia rodzicielskie swoje obowiązki: ale nieprawdą jest, żeby umysł jej skłonniejszym był do sprawiedliwości. Przeciwnie, kobieta miłością swoją nawet krzywdzić, a poświęceniem zabijać może; bo właśnie wskutek owej bezwiedności, — która nad naturą kobietą wszechwładnie panuje — odgraniczanie jednej rzeczy od drugiej, odróżnianie prawa od bezprawia, złego od dobrego, obdzielanie każdej istoty, rzeczy każdej, według właściwej dla nich miary: przedstawia daleko większą dla kobiety, niż dla mężczyzny, trudność. Jeżeli sprawiedliwość jest na świecie, to jest tylko przez mężczyznę. Istnieje mocne domniemanie za tem, że gdyby wymiar jej wzięła w ręce swoje kobieta, ludzkość rozpadłaby się zaraz na dwie połowy: na ukochanych i na znienawidzonych: bezprawie pierwszych byłoby prawem, prawo drugich — bezprawiem. Niechaj kobieta będzie nadal ogniem, ciepłem, sercem, ludzkością w jej życiu przyrodzonym: siła, porządek, sprawiedliwość, rozum na przymiotach męskiej natury, na darach męskiego umysłu — opierać się będą. Może to złe, — może; ale tak chciała mieć natura, tak rozwijały się dzieje: a przeciwko Naturze i Historii największy nawet geniusz nie nie poradzi. Świat się już nie zmieni: my żyjemy tak, jak żyli poprzednicy nasi, i ci, co po nas przyjdą,

nie inaczej żyć będą. Żadna strona nie jest wyższą w stosunku do drugiej: każda w swoim zakresie jest wysoka. Spór o wyższość jednej nad drugą wytacza się zwykle dopiero wtedy, gdy jedna z nich obowiązków swoich nie pełni. Poważne umysły nigdy takich sporów nie rozwiązują; a wytaczanie ich na widownią sztuki, napajanie niemi twórczości artystycznej — uważamy za prawdziwe odszczepieństwo od religii piękna i prawdy.

Dwie miary jedną jeszcze nastroczają kwestyą: Czy właściwie p. Mellerowa wprowadziła, jako przedstawiciela krytyki naszej, jakiegoś sowizdrzała, tchórza i wprost, nieparlamentarnie mówiąc, smarkacza, w którego istnienie nawet, a cóż dopiero w zachowanie i powagę społeczną, nikt nie uwierzy? Nie bierzemy p. Mellerowej za złe, że umyśliła sobie krytykę ze strony jej ujemnej przedstawić; pozwalamy jej nawet za przykładem Chęcińskiego napisać na krytyków osobną komedię: ale zapytujemy autorkę: czy ten Szalej może być przeciętnym typem złego, lekkomyślnego krytyka u nas? Wybrany przez p. Mellerową należy do rodzaju reporterów-dziennikarzy — i tylko nierozumieniu rzeczy przypisać musimy nadanie mu godności literata. Autorka, wystawiając Szaleja, usiłowała ujmować sobie publiczność a podkopywać i ośmieszać samą krytykę. Zły to proceder: należało ośmieszyć lekkomyślność, która z Paryża i Wiednia istotnie do nas już przekradać się zaczyna. Z całej postaci Szaleja wypromienia się zjadliwa nienawiść autorki do krytyki; ale nienawiść nie buduje: sarkazmy p. Mellerowej jak nic nie przyniosły jej sztuce, tak też w niczem nie zaszkodziły jej wrogowi: krytyce. Przyszły utwór autorki dostanie się pod nóż z mocy równie niewzruszonego prawa, z jakim dostały się i poprzednie. Może p. Mellerowa doznała kiedy krzywdy od krytyki; ale literatura i scena nie powinny nikomu służyć za miejsce do obrony. Prawdziwe powołanie odsuwa zawsze na bok osobistość własną, aby oko twórcy swobodnie w świat patrzeć mogło.

Wracamy do przeglądu teatralnego. Sztukę p. Mellerowej wystawiono starannie. Najwzniecijsze pole miał p. Wolski; przedstawił karykaturę Szaleja, żywo, jakby jednym tchem. Inni artyści do chwili owego znalezienia listu przez Seweryna, mając jeszcze jaki taki ruch dramatyczny w rolach przedstawiali się dobrze; później utracili grunt pod nogami, nie wiedzieli jak wybrnąć: czy farsą czy rzetelną komedią. Czego my to nie wymagamy od tych biednych artystów! A to ten złe wyłómaczył myśli autora, a to ów złe zrozumiał, a tamten spaczył charakter, a ten tu oto — zaprzepaścił akcją sztuki przez swoją grę. Winy swoje lubią autorowie spędzać na aktorów; niezawsze chcą widzieć, że jeśli sztuka na scenie złe poszła, to dlatego, że ją autor kulawą na scenę wprowadził: i jakże iść miała? Niechże tu kto wyrozumie charakter Seweryna, Cecylii, Pauliny? Jakże aktor ma grać dobrze to, czego autor dobrze nie napisał?

Wesołą zabawką, z rzadkim humorem i dobrym smakiem napisana, jest pana Józefa Kościelskiego *Prelegent*. Dyalogowanie, zwłaszcza w pierwszej połowie sztuki, odznacza się potocznością, dowcipem i lekką ironią spadającą na prelegentów i publiczność niewieścią naszych prelekcji, nawet na takie potęgi, jak dziennik mający 20,000 prenumeratorów. Podstawienie prelegenta Jana w miejsce kucharza jest trochę *tiré par les cheveux*; ale ponieważ dokonywa się szybko a powabnie, więc nie razi. W sztuczce tej występują trzy tylko osoby. P. Onufry, wielki smakosz, osiadłszy na przedmieściu po oddaleniu starej Maryanny, oczekuje niecierpliwie kucharza. Córką Onufrego, Andzia, świeża gąska z pensji, kocha się popensjonarsku w p. Janie, dawnym swym nauczycielu, a dowiedziawszy się o spisku ukautym na niego przez przeciwnie stronnictwo, sprowadza go listem podrobionym do domu ojca, aby go o niebezpieczeństwie ostrzedz. Prelegent przybywa. Onufry bierze go za kucharza: ale węzeł bez trudu się rozwiązuje. Andzia oświadcza się Janowi, a Jan zostaje kandydatem do szczęścia małżeńskiego. Wszystko to niepretensjonalne, bez żadnych zasadzek, bez tendencji — bez zamiaru; ot tak, jak

się mówi rzeczy wesołe w przystępie dobrego humoru: i właśnie dlatego, że niewymęczone i nieciężkie, daje sposobność do prawdziwie szczerzej zabawy. Pysznym był p. Ostrowski jako Onufry; panu Wolskiemu przydałaby się silniejsza charakterystyka w roli tytułowej.

S. K.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Fernan Caballero. — Wiktora Hugo „Torquemada”.

(Dokończenie).

Pan A. de Latour, przyjaciel jej, powiada o staraniu, z jakim ukrywała swą sławę: „Można było być pewnym narażenia się jej, rozpytując o dzieła, i przez czas bardzo długi, umiała doskonale ukrywać autorstwo swoje. — P. Vitet, członek akademii, mówiąc ze mną o Fernanie Caballero, przypuszczał, że pod pseudonimem tym kryje się hiszpańska infantka.

„Nie — Fernan nie był infantką, ale gdyby tytuł nadać mógł talent i charakter, godnym był go nosić”.

Jedną z ostatnich pociech D. Cecylii było to, że się mogła przyłożyć do wznowienia starodawnego pobożnego obyczaju. Stróż nocni w Hiszpanii, wykrzykując swe: ostrożnie z ogniem! zwykli byli od wieków dodawać: Ave Maria, purissima! Obyczaj ten ustał z rewolucją. Na prośbę staruszki, z niewymowną pociechą mieszkańców, *ayuntamiento* w Sewilli przywróciło go. Cóż to za radość była dnia tego!!

Śmierć po tem życiu chrześcijańskim przyszła spokojna, jasna, białoskrzydłym aniołem do węzłowi staruszki. W wigilię odwiedziła ją królowa; nazajutrz miała jeszcze przyjacielowi swemu p. Gabriel, dać jakieś polecenie, po które miał przyjść rano. Lecz, gdy się stawiał, przeprosiła go grzecznie, nie miała już siły...

Pogrzeb jej cała Sewilla uczciła współczuciem serdecznym. Pomnik, tablicę pamiątkową, nazwanie ulicy jej imieniem — otrzymała po zgonie. Dzieło całe Fernana Caballero składa się z dwudziestu kilku powieści, tyluż prawie opowiadań i oderwanych scen obyczajowych. W papierach po zmarłej znaleziono oddaną do druku przez nią na kilka dni przed śmiercią powiastkę: *Być nadto*, drugą daną przez nią siostrzeńcowi, markizowi del Saltillo, pod tytułem *Magdalena*. (U tegoż samego Szpak biały niedrukowany). Pan Jose Alphonso Morgado posiada zbiór przysłów i piosenek ludowych.

„Przeczytanie jednej powieści Fernana, powiada jej biograf, *La Gaviotta* (Morskie ptasze), wystarczyło do zachęcenia, aby się poznać z innemi, przebiegając kraj, który je natchnął. Mało zresztą podróży może tak zająć turystę, jak Andaluzyja, nadewszystko, gdy się ją zwiedza powoli, i z taką miłą książką za towarzysza.

„Nikt bardziej nie ukochał i nie odmalował lepiej tego ślicznego kraju, z większym zapalem i prawdą nad nią — nikt lepiej jej nie ocenił. Wszyscy, co pisali o Hiszpanii, jako T. Gautier, A. Dumas, Merimé, Doré, Poitou, zwracają się szczególnie ku stronie malowniczej i artystycznemu pomnikom odwiecznym, ale nie dają nam a ni poznać ani ukochać mieszkańców.

„Powieściopisarz andaluzyjski, przeciwnie, wdziękiem swych opisów podnosi lazur niezmaczony nigdy tych niebios, klimat zawsze łagodny, ziemię wiecznie kwiatami okrytą tego kąta ubłogosławionego, ale zarazem w swych obrazach sielskich, w ożywionych rozmowach, każe nam oceniać prostoduszą uczciwość, gorącą wiarę i wrodzoną dobroć, charakteryzujące lud Andaluzyi.

„Przez czas bardzo długi (pisze dalej), w Hiszpanii nawet, nie wiadano kto był ten miły opowiadacz, tak starannie unikający rozgłosu i sławy, którego powieści datowane z Port-Sainte-

Marie, z San Lucar lub z Sewilli poruszały serca i budziły ciekawość tak żywą.

Była-li to kobieta, jak wnosić można z wielkiego wdzięku opisów? Lecz jakżeby delikatny pędził niewieści mógł z taką energią mężką malować charaktery? Jeżeli mężczyzna, jak głosiło imię, do jakiej kategorii hierarchii społecznej mógł on należeć? Niezawodnie musiał on żyć pod strzechą ubogą, bo czuć w nim miłość ludu, i maluje go doskonale, niepochlebiając mu nigdy.

Bądźcobądź, autor młodym być musiał, — mówiono, — bo tylko młodość może mieć tę świeżość i potęgę; ale tuż spotykają się smętne wspomnienia przeszłości, a znajomość serca ludzkiego, dowodzi, że przeszedł przez bolesną doświadczenia szkołę. — Komuż więc danem było, tyle w sobie przymiotów połączyć? Rzecz szczególna, zasłona tajemnicza, którą się okrywał Fernan Caballero, była poszanowaną przez jego współziomków.

„Nigdy też sława, jakiej pisarz się dobił, nie wyrwała go z tych mroków, któremi się otaczał, kryjąc w Andaluzji. Nigdy pragnienie tryumfów nie pociągnęło go do Madrytu, a gdy później, kilka osób w Sewilli uchyliły zasłonę, pisarz dla ogółu pozostał zawsze tajemniczym Fernanem Caballero, albo raczej naszym Fernanem, jak go zowią Hiszpanie. Śmierć dopiero odsłoniła całkiem życia tajemnicę.

Pierwszą próbą, która wyszła z pod pióra autorki, była scena, albo raczej obraz obyczajowy: *Sola*, malująca lud i jego zwyczaje. D. Cecilia napisała go pierwotnie po niemiecku i ogłosiła dopiero w r. 1831 w Hamburgu — bezimiennie.

„Od czasu jak tu przebywam, — pisze ona w przedmowie do *Una en Obra*, stykając się ciągle z ludem, jestem przekonana, że w nim tylko pozostała cała poezja starej Hiszpanii i starych kronik naszych. Wiara ludu, jego charakter, uczucia, wszystko nosi jeszcze na sobie piętno oryginalności i poezji. Mowa jego szczególnie do wienca kwiatów porównać się daje. Porównania nadzwyczaj trafne, przysłowia żywe i prawdy pełne, powiastki cudowne, gdy są natchnieniem religijnem ożywione, lub żarzą się dowcipem; piosenki najwdzięczniejsze poetyczne: oto kwiaty, z których się wieniec ten spleta. Lud andaluzyjski ma postawę szlachetną, strój ładny, język i uczucia wdzięku pełne“.

Nie ujmując bynajmniej wartości artystycznej pismom Fernana Caballero, które znalazły uznanie i ocenę, nie tylko w Hiszpanii, ale na całym świecie, godzi się główny położyć nacisk na samo życie autorki, tak piękne, tak czyste, tak spokojne a opromienione aureolą męczeństwa, iż przy niem gasną blaski tego wienca, jaki sobie piórem zdobyła. Postać to tak wspaniała przy swej prostocie, iż równej jej znaleźć trudno. Dlatego rozpisaliśmy się o niej długo i żal nam tylko, że mnóstwo rysów z biografii francuskiej służącej nam za materiał, opuścić byliśmy zmuszeni. Zaslugiwałaby ona na tłumaczenie cała.

Jeżeli już dziś o Daudetach i o Zoli piszą całe książki, najdrobniejsze chwytając szczegóły z żywota, wcale niemającego wielkiego znaczenia i psychologii literackiej nie przynoszącego nowych danych: czemużby niewolno było bliżej się zapoznać z taką skromną a posagową postacią, jaką jest Caballero?

W chwili gdy list ten kończymy, dochodzi nas wiadomość o chorobie, której uległ ośmdziesiątletni W. Hugo. Jest to owo pierwsze memento mori — lekkie porażenie, które prawie zawsze poprzedza ostateczny cios. Z tego powodu godzi się sprostować, co we wszystkich niemal pismach znajdujemy, iż W. Hugo tak jeszcze jest umysłowo rzeźwy, że świeżo utworzył „Torquemadę“, dramat, który się właśnie drukuje. Nie zaprzeczamy tej rzeźwości, ale co do „Torquemady“, ten od bardzo dawna spoczywał w szafie że-

laznej, i dziś dopiero został z niej wydobyty. Jak „Quicangrognę“, „Torquemada“ zapowiadany był od lat wielu, a dopiero teraz przyszedł nań moment psychologiczny.

Śmierć Emersona i Darwina ogłaszają dzienniki współcześnie prawie, gdyśmy jeszcze nie oplakali Longfellow'a. Dotkliwie to są straty, o których obszerniej jeszcze rozpisać się wypadnie. Co do Emersona, podnosimy tylko to, że pisma niemieckie, dla których criterium wartości stanowi stosunek autorów do „Niemiec“, Emersona zowią dzieckiem ducha germańskiego, Longfellowa wychowankiem jego. Co do Darwina, którego epigrafowie Haeckel i Vogt, po części upopularyzowali, w części wyszpicili, i ten także przynajmniej napół do Niemiec należy. Dziś, co się nie wywodzi ztąd, co nie kłania się wszechwładzy, co jej nie czei, odrzucane jest z niewysłowioną pogardą. Nawet Fernan Caballero w Niemczech słynie — nie ze cnoty i talentu, ale głównie z ojca Niemca!

Dochodzimy w tej pysze narodowościowej do rodzaju „aberracy“. Tożsamo we Francji! i — nie powiem gdzie jeszcze. A żyjemy, jak się zdaje — w XIX wieku. Smutno!

ODEZWA KOMITETU

TOWARZYSTWA ZACH. SZ. PIĘKNYCH

w Królestwie Polskiem.

Z powodu przejścia domu pobernardyńskiego z posiadania rządu w inne ręce, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem w krótkim czasie zmuszonem będzie opuścić mury, w których się przed dwunastu laty własnym kosztem urządziło, i szukać dla siebie innego pomieszczenia.

Trudność wynalezienia odpowiedniego lokalu, czyniącego zadość potrzebom Towarzystwa, a szczególnie wystawy dzieł sztuki, oraz brak funduszy na pokrycie kosztów komornego, które dotąd budżetu Towarzystwa prawie wcale nie obciążało, skłoniły Komitet do powzięcia myśli wystawienia dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych własnego domu.

W przekonaniu, że wobec świetnego rozwoju sztuki polskiej i jej uszlachetniającego wpływu na wszystkie warstwy społeczeństwa, kraj cały przyjmie gorący udział w sprawie wystawienia w naszym grodzie takiego publicznego przybytku dla sztuki krajowej — Komitet wyjednał u rządu zezwolenie na zbieranie składek dobrowolnych w obrębie Królestwa Polskiego, do wysokości stu tysięcy rubli.

Do przyjmowania tych składek upoważnieni są członkowie Komitetu, kustosz i korespondenci Towarzystwa, wszystkie redakcje pism peryodycznych krajowych, oraz inne osoby do tego przez Komitet piśmiennie zaproszone i w tym celu zaopatrzone w osobne kwitariusze.

Podając o tem do publicznej wiadomości, Komitet Towarzystwa ma niepłonną nadzieję, że społeczność nasza zrozumie wysoką doniosłość tej sprawy i ochoczo ją poprze w imię dobra powszechnego. A w ten sposób przy energii i poświęceniu ludzi dobrej woli, stanie wkrótce w Warszawie zbiorowem siłami przybytek pamiątkowy, godny sztuki krajowej.

Jeżeli Czesi miliony zebrali dla wzniesienia w Pradze teatru, to się zapewne znajdą u nas sto tysięcy na cel równie piękny i wzniosły! W tem przeświadczeniu rozpoczyna Komitet pracę około tego dzieła i, da Bóg, ujrzy je wkrótce uwiecznionem dla chwały i kraju sztuki!

Redakcja *Bluszczu* dzieląc nadzieję Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, z dniem dzisiejszym rozpoczyna przyjmowanie składek, na które wydawać będzie kwity z księgi sznurowej, nadesłanej jej w tym celu.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Wygnaniec**.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach.

NAUKA O LUDACH

(ETHNOLOGIA)

OSKARA PESCHELA

PRZEŁOŻONA Z NIEMIECKIEGO I POMNOŻONA

przez

D-ra T. Wislockiego.

Cena egzemplarza Rub. sr. 4.

TREŚĆ. Z życia. — Henryk Wadsworth Longfellow, życiorys, (dokończenie). — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez S. K. — Listy z zagranicy, (dokończenie), J. I. Kraszewskiego. — Odezwa Komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Мая 1882 года.